

PRACA KONKURSOWA „PODRÓŻE BEZ GRANIC Z PRZESZKODAMI – BEZ
PRZESZKÓD”

Autor pracy:

ANNA KRYŚ

Witam serdecznie!

Nazywam się Ania Kryś, jestem osobą z niepełnosprawnością od urodzenia. Mózgowe porażenie dziecięce – to choroba, z którą nierozdzielnie łączy się moje życie. Mimo niezaprzeczalnych ograniczeń, które są z nią związane staram się każdego dnia korzystać z życia na 100, a nawet 101%.

Marzenia – każdy z nas w życiu je ma, a przynajmniej powinien je mieć. Właśnie o kilku moich marzeniach, które spełniły się dzięki i przez podróże chciałabym tutaj napisać. Więc zaczynając...

Włochy – moje wymarzone miejsce na ziemi, mój raj... Zawsze chciałam tam pojechać, poczuć niesamowity klimat tego kraju... Częsty temat rozmów z moją przyjaciółką ANIĄ, której do znudzenia powtarzałam jak bardzo chciałabym tam pojechać, dotknąć, posmakować. Ania natomiast z niesamowitą cierpliwością słuchała i słysząc w moim głosie niesamowity entuzjazm powtarzała tylko: „zobaczysz, pojedziesz...”. I dotrzymała słowa! „Moja” ANIA już jako ANIOŁ (odeszła do najlepszego domu 4 lipca 2009 roku, po niesamowicie dzielnej walce z białaczką) sprawiła, że marzenie stało się faktem już tegoż samego roku. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że ja osoba tak twardo stojąca na ziemi wysłałam jednego sms-a na konkurs, którym do wygrania był dwutygodniowy pobyt we Włoszech wraz z osobą towarzyszącą jak, nie pomocą ANIOŁA? A, że mój jeden jedyny wysłany sms był tym 400 w kolejności, który spełnił marzenie to już bezsprzecznie „robotą” ANI, i nikt mi nie powie, że było inaczej.

Przyznam, że miałam obawy związane z tym wyjazdem. Wycieczka miała charakter objazdowy, co było związane z codziennym kilkunastogodzinnym chodzeniem. Jednak na moje szczęście radość serca wygrała z obawami. I wyruszyliśmy z moim mężem w naszą podróż marzeń dokładnie 17 września 2009 roku. Perspektywa spędzenia prawie dwóch tygodni w mojej ukochanej Italii dodawała mi skrzydeł! Nie podciął ich nawet wzrok pani przewodniczki, który zadawał się mówić z przerażeniem: „Co osoba z takimi problemami z poruszaniem się tutaj robi, pewnie nie da sobie rady!”. Sytuacja wyjaśniła się już na początku podróży, podczas rozmowy w autokarze. Wyjaśniłam spokojnie, że znam swoje ograniczenia i spokojnie dam sobie radę!. Swoją drogą nikt nie ma prawa odmawiać nam realizacji naszych marzeń tylko dlatego, że mamy jakieś bardziej lub mniej widoczne ograniczenia, to tak na marginesie.

Po prawie 16 godzinnej podróży dotarliśmy szczęśliwi do Wenecji i od razu ruszyliśmy cieszyć oczy widokami. Rejs gondolą – coś pięknego, magiczne weneckie uliczki – można tam zgubić nie tylko duszę... Po tak intensywnym dniu zasnęliśmy z mężem przeschęśliwi i zmęczeni jak dzieci. Kolejne dni również obfitowały w niesamowite wrażenia. Bazylika

świętego Antoniego w Padwie, słynny balkon szekspirowskiej Julii w Weronie, słynna krzywa wieża w Pizie już nie miały przed nami tajemnic. Chwila zadumy na polskim cmentarzu wojskowym na Monte Cassino, następnie wizyta w muzeum multimedialnym „Historiale di Cassino” dały nam solidną lekcję historii, z której możemy i powinniśmy być dumni. Następnym punktem wycieczki był cały dzień spędzony na przepięknej, malowniczej wyspie Capri, na którą dotarliśmy promem – niesamowite przeżycie. Siódmy dzień wycieczki okazał się dla mnie przełomowy, raczej nie dla mnie tylko moich nóg. Legendarne ruiny antycznych Pompei „wyzwoliły” w nich ból, jakiego dotąd nie doświadczyłam. A przed nami była perspektywa „zdobycia” Krateru Wezuwiusza. Jakież było zdziwienie pani przewodniczki, że i tej okazji nie mogę nie wykorzystać – oczywiście zdobyłam i Wezuwiusza!. Całe szczęście po solidnej dawce snu w hotelowym łóżku następnego dnia nogom „chciało się” iść dalej. Ku mojej uciechu jakby ze zdwojoną siłą! Wszak przed nami jeszcze tyle było do zobaczenia. Rzym, Watykan, krótka modlitwa przy grobie Ojca Świętego Jana Pawła II zostawiły w sercu obrazy niezapomniane. Podczas podróży marzeń było mi dane także zobaczyć Asyż, San Marino i przepiękne mozaiki w Rawennie. Wycieczka bezsprzecznie obfitowała we wrażenia, niesamowite przeżycia, a co najważniejsze ugruntowała moje przekonanie, że piękne Włochy to moje wymarzone miejsce na ziemi i wrócę tam jeszcze nie jeden raz! W sercu zostały niesamowite obrazy, które przypominam sobie zawsze wtedy, gdy mam „słabszy” dzień. Coś magicznego – akumulatory naładowane na długi czas. Mimo, że od tej podróży minęły już ponad dwa lata, nawet teraz, gdy o niej piszę uśmiecha się moja dusza.

Kolejnym niesamowitym przeżyciem w moim życiu było uczestnictwo w rejsie po mazurskich jeziorach, który był organizowany przez Fundację Anny Dymnej w ramach projektu „Małe Kilimandżaro” w dniach 13-17 września 2010 roku. Gdy powiedziałam mężowi, że wysłałam zgłoszenie (uczestników wyłaniano w drodze konkursu) przetarł tylko oczy z niedowierzaniem. Pewnie nie byłoby to dla niego nic dziwnego, gdyby nie fakt, że doskonale wie o tym, jak bardzo boję się wody. Ale przecież ograniczenia są po to, aby je przełamywać! – z tą właśnie myślą wysłałam owo zgłoszenie. Minęło kilka dni, aż wreszcie telefon pracownika Fundacji i stanęłam przed faktem spędzenia kilku dni praktycznie „na wodzie”, w towarzystwie zupełnie obcych ludzi. Szaleństwo! I niesamowite emocje zarazem. Na Mazury wyruszyłam z duszą na ramieniu. Jak się później okazało nie ja jedna, wraz ze mną jeszcze 9 osób z różnego rodzaju niepełnosprawnościami i strachem w oczach stanęliśmy przed wielką przygodą. Każdy z nas ze swoim bagażem doświadczeń i inną motywacją przyjechał na Mazury. Myślę, że ta nasza różnorodność dodawała nam odwagi, która była potrzebna podczas każdego dnia naszego żeglowania. Na miejscu zostaliśmy podzieleni na załogi (po 6 osób na jachcie – 2 osoby z niepełnosprawnością, 3 wspaniałych wolontariuszy Fundacji „Mimo wszystko” oraz sternik), zakwaterowani na jachtach i zaczęła się nasza wspólna wielka przygoda. Perspektywa spędzenia pięciu dni praktycznie na jachtach (na ląd schodziliśmy praktycznie tylko na wieczorną toaletę), wspólne przygotowanie posiłków, sprzątanie jachtów, poznawanie tajników żeglowania mnie osobiście napawała strachem, ale i ogromną ekscytacją przed czymś nieznanym, nowym. Po pewnym czasie okazało się, że strach był zupełnie niepotrzebny. Niesamowita atmosfera panująca na „naszym” jachcie, głównie za sprawą wolontariuszy sprawiła, że mogłam zobaczyć jak piękne

są Mazury, poczuć na początku nieśmiałą radość z żeglowania, i nawet „jachtowe kołysanie” przestało mi już przeszkadzać. Tylko pierwsza noc na jachcie była dla mnie nocą bezsenną, później już na szczęście zmęczenie wzięło górę. Podczas trwania rejsu mieliśmy możliwość uczestniczyć w szkoleniu „Instalacja wewnętrznego coacha”, które dla mnie osobiście było bardzo inspirujące, pozwoliło mi lepiej poznać siebie i w pewien sposób zniwelować moje myślenie o sobie. Niewątpliwie bardzo cenne doświadczenie. Pięć dni i nocy na jeziorach mazurskich minęło nadzwyczaj szybko, w wielu z nas pojawiła się pewnie myśl, że warto było i pewnie jeszcze kiedyś wrócimy na Mazury, które moim zdaniem całkowicie zasłużyły do tytułu „Mazury- cud natury”. Niesamowita atmosfera rejsu, która obfitowała zarówno w śmiech jak i łzy (głównie przy pożegnaniu) to niewątpliwie zasługa niesamowitych ludzi, którzy w nim uczestniczyli. Ich niesamowicie zaraźliwy entuzjazm, wielka pasja żeglowania, jak również wysoki poziom empatii sprawiły, że nikt z nas niepełnosprawnych nie czuł się inny, gorszy, a wręcz przeciwnie na jachtach byliśmy jedną załogą, zgraną załogą. Każdy z nas znał swoje obowiązki i starał się z nich wywiązywać najlepiej, jak potrafił. Nie było podziału na niepełnosprawnych i pełnosprawnych i to było najpiękniejsze. Potrafiliśmy tak wspierać się uzupełniać! Moim zdaniem wolontariusze Fundacji Anny Dymnej to prawdziwe brylanty, i każdemu z nich należy się podziękowanie za ten wspaniały rejsowy czas. Czas, który na zawsze już ma swoje miejsce w moim sercu.

Od czasu mojej podróży do Włoch zastanawiałam się czy jest może jakiś sposób, abym mogła podziękować mojej ANI, która niewątpliwie jest w niebie, za spełnienie mojego marzenia i za to, że każdego dnia tek bardzo czuję jej obecność blisko mnie. I znalazłam! Skok tandemowy ze spadochronem. Taki mój sposób, by chociaż na chwilę być bliżej Ani, bliżej nieba.

W związku ze swoją niepełnosprawnością musiałam wcześniej uzyskać zgodę lekarza na skok, a gdy już ją miałam mogłam zacząć załatwiać niezbędne formalności. Po uzgodnieniu terminu i miejsca skoku pozostało mi tylko czekać na telefon „mojego” tandem pilota w celu ustalenia godziny skoku. Wreszcie telefon zadzwonił i stało się jasne – 27 sierpnia 2011 o godzinie 14 w Rudnikach pod Częstochową wykonam swój pierwszy (teraz już wiem, że nie ostatni) skok tandemowy w życiu. To, że mam może „nie najlepszą wersję nóg” w żadnym razie nie jest powodem, żebym nie mogła latać - prawda? Ja przynajmniej tak myślę i tym się kierowałam podejmując decyzje o skoku.

W ostatnią sobotę sierpnia tego roku (bardzo piękną, słoneczną sobotę) wyruszyliśmy z mężem i moją siostrą w drogę do Aeroklubu Częstochowskiego. Gdy dotarliśmy na miejsce musiałam zmierzyć się z niedowierzaniem i zdziwieniem osób, które były tak, jak ja przed skokiem, że jak to? Niepełnosprawna i będzie skakać? Tym większa była moja motywacja, żeby im pokazać, że bariery są po to, aby je przełamywać. Nadszedł mój czas, ubrana w specjalistyczne uprząże, przeszkolona naziemnie poznałam „swojego” tandem pilota Michała i udaliśmy się do samolotu, który miał wnieść nas na wysokość 4000 metrów nad ziemię. W czasie lotu, który trwał prawie godzinę mogłam podziwiać piękne widoki, trochę z Michałem rozmawialiśmy, co jednak nie było łatwe bo silniki strasznie hałasowały. Gdy byliśmy na wysokości 3000 metrów Michał spiął moje uprząże ze swoimi i od tej chwili byłam już praktycznie zdana tylko na niego. Spokój Michała udzielił się także mnie, czułam

się niesamowicie bezpiecznie. Gdy samolot osiągnął wysokość 4000 metrów, otwarły się drzwi i poleciliśmy. Coś niesamowitego! Emocje nie do opisania! Przez pierwszą minutę, kiedy spada się bez otwartej czaszy spadochronu człowiek czuje się tak niesamowicie wolny, ja osobiście czułam, że mogę wszystko, że nie mam żadnych ograniczeń, jak ptak. Coś pięknego! Po około minucie otworzył się spadochron i zaczęło się 5 minut naszego swobodnego zniżania ku ziemi. Mogłam sterować spadochronem, podziwiać piękne widoki. Było magicznie! Moja pierwsza myśl po wylądowaniu (które, ku mojemu zaskoczeniu było bardzo łagodne) – to na pewno nie był mój ostatni skok! Podczas lotu czułam się tak, jakby Michał „wziął na siebie” na te kilka minut moją niepełnosprawność. Polecam każdemu!

Tak właśnie przedstawiają się moje podróże, podróże, które niewątpliwie zmieniły mnie i moje życie na lepsze. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Nawet przez chwilę nie żałowałam żadnej z nich, każda miała w sobie coś magicznego, co zostanie w moim sercu już na zawsze. Emocje, widoki i wspomnienia, których nikt mi nie odbierze! A wszystkim, którzy mają jakieś wątpliwości, czy warto marzyć i łamać swoje bariery dedykuję myśl, która towarzyszy mi od zawsze i jest taką moją maksymą życiową:

Ograniczenia – są tylko w naszych głowach. To od nas samych zależy, czy zdołamy stawić im czoła!

Pozdrawiam!

Ania